

standPUNKTwidzenia 10.05.2019 Cosmo-Radio

<https://www1.wdr.de/radio/cosmo/programm/sendungen/radio-po-polsku/standpunktwidzenia/standpunktwidzenia-brygida-helbig-rodzina-100.html>

Obcowanie z rodziną lubi wyciągać na powierzchnię ukryte zranienia. Przy rodzinnym stole jesteśmy jak na patelni, bardzo widoczni, gotowi do spożycia – pisze Brygida Helbig.

Maj to czas romantycznych wycieczek i rodzinnych biesiad. Pierwsze komunie, śluby, majówki na działce, wizyty kuzynek, teściów. Czas po zmartwychwstaniu, po zimie - to, co było zamrożone, ma szansę zaistnieć i rozkwitnąć. Przy okazji Wielkanocy myślałam trochę o zmartwychwstaniu. Zajrzałam pod tym kątem nie tylko do Biblii i różnych mitologicznych przekazów, ale i do Harry'ego Pottera, którego kochać nauczyła mnie moja córka. I co się okazuje. Zmartwychwstać można dopiero, gdy się umarło. Harry zmartwychwstał, gdy był gotów umrzeć, a może, gdy było gotowe umrzeć jego ego – naznaczone, jak każde, skazą. Ta skaza w nas, ten odłamek Lorda Voldemorta, horkrux, utrudnia nam zwykle dobre kontakty z rodziną, czy innymi wspólnotami. Jeśli jesteśmy gotowi zapomnieć choćby na chwilę o tym, jak się prezentujemy, jak wypadną nasze dzieci, o ciągłym porównywaniu siebie i okazywanej nam miłości - być może spotkanie się uda. Nie jest to wcale takie proste, gdyż obcowanie z rodziną, zwłaszcza to świąteczne, lubi wyciągać na powierzchnię nasze ukryte zranienia, sprawia, że tylko czekają one na odpowiedni, a raczej nieodpowiedni moment, żeby się ujawnić i dać wszystkim czadu.

Osobiście mam ambiwalentny stosunek do wszelkich wspólnot. Nie przepadam za wspólnotowymi mieszkaniem (w Niemczech zwanymi WG), czy za rozmowami z sąsiadami na schodach. Należę do tych, co to raczej chowają się za węglem. Zbyt dużo wspólnoty wyjaławia mnie energetycznie, zwłaszcza jeśli mam wrażenie, że jest to wspólnota kontrolująca, oceniająca i wysysająca siły. Zawsze zamykam dobrze swój pokój, zawsze wieczorem spuszczałam rolety, lubię czuć się niewidzialna, tylko w ten sposób odpoczywam. Może zbyt dużo zaznałam na początku życia kontroli, tak sobie to tłumaczę.

Przy rodzinnym stole jesteśmy jak na patelni, bardzo widoczni, gotowi do spożycia. Niedawno znalazłam się gościnnie na jednej z takich imprez w rodzinie, której najstarsi przedstawiciele zostali mocno straumatyzowani przez nazistowski i socjalistyczny reżim, a jak wiemy trauma nie śpi, tylko przeskakuje sobie z wdziękiem z pokolenia na pokolenie. Sporo tam było kontroli, czy aby nikt nie zachowuje się niewłaściwie i nie kompromituje rodziny, czy aby nikt nie kruszy pod restauracyjny stół, nie zrzuca tam serwetek, albo nie pije za dużo alkoholu. Jubilat kilkakrotnie podkreślał, jak kocha członków rodziny za osiągnięte sukcesy. Sukces i zachowanie nieprzynoszące wstydu – to się liczy. Gdyby ktoś tam próbował wyrazić komuś współczucie, gest zostałby odrzucony i niezrozumiany (bo obnażający rzekomą słabość). Zresztą uczuć nie tyle nie wolno tam okazywać, ile w ogóle ich czuć. Jeśli ktoś to zaryzykuje, może poczuć się głupio. Kiedy żona wiekowego jubilata przeczytała wiersz gratulacyjny i po policzkach popłynęły jej łzy, solenizant nawet nie drgnął, nie mówiąc o tym, aby ją przytulić, czy choćby poklepać. Zapanowała głucha cisza. Z czasem napięcie wzrosło do niewyobrażalnych granic. Aż do momentu, kiedy zamiast bezglutenowego makaronu kelner przyniósł jednemu z wnuków ziemniaki - wtedy synowa pozwoliła sobie na głośny na całą restaurację dziesięciominutowy wybuch, podczas którego wszyscy zamarliśmy na długo. Nie zdradzę, czy zmartwychwstaliśmy oczyszczeni, jak na fajnym przyjęciu komunijnym, na którym byłam ostatnio, gdy komunista pod dwóch godzinach biesiadowania wystrzelił: Tato, kiedy sobie w końcu wszyscy pójdą?

Copyright by Brigitta Helbig-Mischewski  
[www.helbig-mischewski.de](http://www.helbig-mischewski.de)

Takie zdanie kruszy wszelkie horkruxy. No cóż, do dzieci należy Królestwo Niebieskie. I do śmiechu, który nas wybawia.